

ostrzegając go, ale on wówczas śmiał się i dla wyrównania rachunku zapuścił pełny zarost. Dziś chodzi znowu z twarzą ogoloną. Wypredzając żonę mówił:

— Będę szedł naprzód niewiedomo co może się na drodze przytrafić.

— Właściwie co robiłeś wczoraj przy szopie? — zaczęła Gusta po chwili.

— Co ja robiłem? Zajrzałem do siana i słomy, a później położyłem się i zdrzemałem się trochę.

Roześmiała się tak ostrym i przenikliwym głosem, że stado szpaków z krzykiem zerwało się z dużej okrągłej wierzby, wzniosło się ponad łąkę i naraz w trawę przypadło.

— Zdaje mi się, że... przycisnął wskaźający palec do czoła.

— Tobo ci dogadzało. Umieściłbyś mnie w zakładzie, a sambyś się ożenił z takim żółtym szalem.

Wzdrygnęła się, mówiąc dalej:

— Za żadną cenę nigdy w życiu nie nosiłabym żółtego szala!

— A czy ja noszę żółty krawat? odparł zuchwale.

— Zostaw te żarty, proszę cię, zostaw te żarty! zawołała wymachując rękami w powietrzu.

Pfeiffle odezwał się znowu ostro!

— Wolno mi jeszcze być trochę młodym! Jej twarz drgnęła:

— Masz już pięćdziesiątkę.

— To właśnie najlepszy wiek męski, w którym zdrowy mężczyzna zaczyna dopiero żyć naprawdę! — mówił Pfeiffle gorączkowo i prędko idąc naprzód.

— Szkoda, że nie masz przy sobie laski, mógłbyś nią w powietrzu wywijać. Wywija ją pewnie w tej chwili jakiś czeladnik rzemieślniczy po ulicach. Pfeiffe wybuchną!

— Niech się który ośmieli przemocować w mojej szopie i zostawić mi na pamiątkę jąja swoich wszy i pluskiew.....! Zastrzele, jak psa! Poczekaj; granaty, bomby po zakładam! Wyleć jąjaki w powietrze, co do jednego!

Widząc go tak srodze zgniewanego rzekła:

— Twój rodzony brat też pewnie włóczy się po ulicy, jak każdy bezrobotny.

— Skąd wiesz o tem?

— Codzień przecież czytamy w gazetach że robotnicy budowlani nie mają roboty.

— Tobo do domu przyszedł.

— Wypędziłeś go przecie.

— Tylko dlatego, że jako starszy, chciał być zawsze najmądrzejszy i że... za moimi plecami zalecał się do ciebie.

— Przywidziało ci się.

Pfeiffle wzruszył ramionami:

— to nie dowodzi, żeby dziś kiedy jest w biedzie nie przyjął go z powrotem gdyby o to poprosił.

— Tego nigdy nie zrobi.

— W takim razie nic mu pomóc nie mogę.

— Podeszli tymczasem do szemrzącego, wierzbnami ocienionego strumyka, za którym stała szopa, ale deski służącej za kładkę nie było.

Pfeiffle rzucił się gniewnie:

— A to co? Nie, to już przechodzi granice...

— Napewno w szopie leży któryś z bezrobotnych — odezwała się pani Gusta.

— Zastrzele gałgana — zgrzytał Pfeiffle między zębami, sięgając do kieszeni po rewolwer — od czego są domy noclegowe? Ale oni nie chcą tam iść, bo muszą parę godzin drzewo piłować, próżniaki bez czci i sumienia! Cudzą pracą tylko się tuczą, w biały dzień wylegają się po cudzych kątach i sięją swoje robactwo! Ale jak temu szelmie wpakuję proch do spodni, mazaższe już będzie wolny od piłowania drzewa!

— Może jest ich kilku?

— Niech będzie kilku! Myślisz że się boję? Poczekajcie, łajdaki!

Odbiegł na kilkadziesiąt kroków od strumienia i niebawem wrócił dzwigając w po cie czoła starą omszoną deskę, którą przrzucał przez wodę.

Drzwi szopy były szczelnie zamknięte, tylko okienko w górze stało otworem.

— Wylażcie, lotry! grzmiał Pfeiffle.

Tymczasem w szopie pogrążony w sianie spał jak zabity stary włóczęga, znany w okolicy pod nazwą miotlarza, ponieważ dawniej handlował miotłami, od pewnego czasu jednak żył wyłącznie z jałmużny.

Wczoraj wieczorem w szynku nieco podpił sobie i zamiast do noclegowego domu poprzez łąki przywłókł się do szopy, a nie mogąc drzwi otworzyć podniósł deskę ze strumyka, która miała na sobie poprzeczki, przystawił ją do szopy jak drabinę, wdrapał się do okienka i wpadł do środka szopy.

Silny ból otrzeźwił go. Podniósł się i przy świetle księżyca, którego promienie przez okienko wpadały do wnętrza szopy ujrzał laskę z rączką z jeleniego rogu, o którą uderzył głową. Obok laski zaś żółty szal damski. Owinąwszy szal wokoło laski, zatknął ją jak chorągiewkę w sianie, a sam ułożył się obok do snu, planując sprzedać nazajutrz laskę, a żółty szal darować kelnerce w szynku, której względami tak dalece się cieszył, że nieraz wśród gości urządzała składkę dla niego na nocleg.

— Wylażcie, łajdaki! wołał Pfeiffle wściekle odsuwając rygiel i otwierając drzwi na roścież.

— Precz, precz!

Z siana wyrosła przed nim wysoka przygarbiona postać.

— Kto? — huknął Pfeiffle, opierając się plecami o wiązadła z desek i podnosząc do góry rewolwer.

Gusta stała tuż przy nim.

— Raz skończyć z tymi próżniakami, darmozjadami, łajdakami! Ty, nicponiu,

poleć swoją duszę Bogu, bo twoja ostatnia godzina nadeszła!

— Ostatnia godzina? Ani myślę! Jeszcze z 10 lat chcę pochodzić po świecie.

— Miotlarz! — zawołała Gusta.

Ale Pfeiffle rzucał się dalej:

— Miotlarz, czy kto inny, wszystko mi jedno. Wymosić mi się w tej chwili, albo kula w łeb hultaju!

— Co, rewolwer? Litości! Nie chcę umierać! Litości! — błagał miotlarz podnosząc swoją chorągiewkę do góry.

— Żółty szal — krzyknęła przerażona Gusta — i twoja laska! Ach, wstyd, hańba, umieram ze wstydu!

— Nie trzeba umierać, wielmożna pani, żyć, żyć, życie jest piękne — zawołał miotlarz.

— We mnie celuj... zabij mnie... słyszysz? histerycznym głosem jęczała pani Gusta — nie przeżyję tego wstydu... nie chcę... strzelaj... słyszysz?

— Czy to pańska laska — panie Pfeiffle? wmieszał się sprytny miotlarz. — W takim razie przepraszam bardzo, że pozwoliłem sobie przywiązać doń damski szal. Ten szal należy do kelnerki z szynku.

— Do kogo należy? spytał Pfeiffle osłupiały ze zdumienia.

— Do kelnerki z szynku pod „Czerwonymi wołami“. Przysięgam! — powtórzył miotlarz, grzmocąc się pięścią w piersi.

— Skradłeś jej wisielce?

— Tak — przyznaję się — odparł pokornie.

— Słyszysz Gusta? — zwrócił się Pfeiffle do żony — ten niepoń ukradł szal kelnerce z „Czerwonych wołów“!

— To go zastrzel, skoro złodziej!

— Litości, ja nie chcę umierać!

— Zastrzel go, mówię ci!

— Dla szalika? Plamić rękę krwią ludzką?

— Sameś przed chwilą mówił, że dla takich hultajów, co się w cudzem sianie wylegają kula w łeb!

— No tak! Ale tu chodzi o starego włóczęgę, miotlarza! I dla głupiego szalika? wykrecał się Pfeiffle.

— W takim razie chodźmy zaraz do kelnerki oddać jej szalik. Ty pójdziesz z rewolwerem za złodziejem ażeby się nam nie wymknął!

— Dla szalika mam się narażać na ludzkie języki. Dziękuję za to i ani myślę!

Ach ty szubieniczniku! I ja przed chwilą chciałem umrzeć dla jakiegoś szalika! Czyś ty wart takiej ofiary! — roześmiała się Gusta na całe gardło.

— Macie rację, miotlarzu — zwróciła się do starego włóczęgi — ani myślę umierać, przeciwnie teraz właśnie pędzić będę życie swobodne i beztrudnie!

I nie spojrzawszy na męża wyszła z chatki z podniesioną głową, szybkim i pewnym krokiem kierując się przez kładkę ku pachnącym i upstrzonym kwieciami zielonym łąkom.

Jotsaw.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok III.

ŁÓDŹ, dnia 12 września 1926 roku.

Nr. 37.

W uznaniu zasług dzielnych druhów topora.



W ubiegłą niedzielę, podczas uroczystości obchodu jubileuszu 50-lecia istnienia Łódzkiej Straży Ogniowej Ochotniczej odbyło się na placu St. „Union“ wręczenie odznaczeń zasłużonym członkom straży przy udziale p. wojewody Jaszczolta.

Teatralja.

Z teatrów warszawskich. — Zagrożona placówka. — I w Paryżu, nie wszystkim dobrze się wiedzie

Poważne kłopoty ma dyrekcja warszawskich teatrów miejskich z uruchomieniem w bieżącym sezonie Opery. Ze względu na znaczną a niezbędną redukcję jej budżetu, trzeba było przystąpić nie tylko do pewnych ograniczeń personalnych pod względem ilościowym, lecz również do — obcinania gaź, zarówno solistom jak zespołom, i to nawet dość znacznego, bo wynoszącego od 10 do 25 proc. Przeciwno tym zamiarom oszczędnościowym zgłosił stanowczy sprzeciw chóry Opery, żądając nawet podwyżki w stosunku do sezonu ubiegłego. Maximum ustępstw dyrekcji — to zagwarantowanie chórzystom operowym dotychczasowych zarobków, co i tak stawia chóry w położeniu uprzywilejowanym. Narazie jednak ta część personelu operowego trwa w uporze, skutkiem czego rozpoczęcie sezonu zostało odłożone na czas nieograniczony. Bezczynność Opery warszawskiej byłaby dla stolicy poważnym brakiem, a nawet despektem wobec swoich i obcych, których tytu jest w Warszawie. Należy więc spodziewać się, że wkrótce będzie znalezione znośnie kompromisowe wyjście z sytuacji, a piękna sala Teatru Wielkiego nie będzie osnuwana pajęczyną pustki i zapomnienia.

Dobrze za to i szczęśliwie ruszył z miejsca 3 b. m. Teatr Narodowy, wystawiając „Śluby Panieńskie“, zawsze młode arcydzieło — z udziałem szeregu cennych i wybitnych sił aktorskich. W przygotowaniu inauguracyjnego widowiska znać było wielką ambicję i sumienną pracę nowej dyrekcji, co dobrze wróży o przyszłości.

Najbliższą premierą Teatru Narodowego będzie „Sen srebrny Salomei“ w dalszym ciągu dyr. Lorentowicz projektuje wystawienie szeregu znakomitych dzieł polskich, m. in. — cyklu Fredrowskiego, Słowackiego, Wyspiańskiego („Akropolis“). Z niegranych dotąd sztuk współczesnych polskich wystawione będą: „Mściciel“ — Przybyszewskiego, „Komendant Paryża“ — Nowaczyńskiego, „W miłosnym labiryncie“ — Wroczyńskiego, „Dwie siostry“ — Perzyńskiego, „Romans Florencki“ — Kiedrzyńskiego, „Oszalałe serca“ — Grubińskiego. Z literatury klasycznej, dane będą: „Ptaki“ — Arystofanesa, „Król Edyp“ — Sofoklesa, „Pierścień fatalny“ — Kaldosa, „Szkoła żon“ — Molièra, „Romeo i Julia“ — Szekspira i in. Z literatury dramatycznej obcej czasów nowych obiecuje dyr. Lorentowicz dzieła Shawa, Maeterlincha, Claudela, Geroldy'ego, Strindberga.

Teatr Letni wystawił ostatnio miłą komedię francuską P. Savault'a, p. t. „Córka króla czekolady“, graną i w Łodzi za czasów dyr. Wroczyńskiego, jeśli nas pamięć nie myli, p. t. „Szalona dziewczyna“. Jest to wesoła, dobrze i dowcipnie opowiedziana historyjka o kapryśnej jedynaczce fabrykanta czekolady, p. Lapistolle'a, która, jedynaczka a nie czekolada — dzięki wy-

padkowi samochodowemu zawiązuje interesującą znajomość, a następnie romans z młodym samotnikiem, Pawłem Normand. Normand uważając, że progi pałacu p.p. Lapistolle są zbyt wysokie na jego nogi — początkowo broni się przed tą miłością, narzucaną mu niejako przez rozluźnaną a miłą dziewczynę. Opór Normanda dodaje jednak tylko bodźca uczuciom panienki, której wszystkie chcenia i myśli nawet były dotychczas w lot spełniane. Oczywiście, że atak rozkapryśzonej jedynaczki, umiejaczej zdobyć się na upór i stałość w swej dziewczęcej miłości, doprowadza wreszcie do kapitulacji spokojnego młodzieńca. „Córka króla czekolady“ będzie miała Normand'a, on zaś — rozkoszną żonę, no i fabryki czekolady w przyszłości.

Doskonale postawiona postać bohaterki i dużo dobrych teatralnie sytuacji — stanowią zalety komedji Gavault'a, która, głównie dzięki p. Brydzińskiej w tytułowej roli, wygramo z rozmachem i powodzeniem na scenie Teatru Letniego.

Pisaliśmy już w poprzedniej kronice, że sprawy teatrów w Grudniadzu i Bydgoszczy są na sezon rozpoczynający się załatwione t. zn., że te miasta pomorskie posiadać będą stałe zespoły. Gorzej natomiast przedstawia się sprawa z teatrem w Toruniu, którego byt pozostaje pod znakiem zapytania. Chodzi mian. o to, że teatr ten bez poważnych subsydjów miejskich i rządowych egzystować nie może, jeśli ma być postawiony na właściwym poziomie. Ponieważ Min. Oświecenia Publicznego, skrupupowane względami budżetowymi, odmawia subsydjów na rok bieżący, sprawa uruchomienia teatru toruńskiego jest zahamowana, a być może — nawet uniemożliwiona. Narazie toczą się wciąż różne pertraktacje i negocjacje, mające na celu usunięcie wspomnianych trudności finansowych. W każdym bądź razie sytuacja jest niepewna, a

że by bardzo było, gdyby tak ważny ośrodek życia polskiego na Pomorzu, jak wojewódzki Toruń, pozostał bez teatru...

Sezon 1925/26 nie był pomyslny dla tych teatrów paryskich, które, należycie pojmując swe wysokie zadania, chciały przewietrzać zaduch i stęchłą jałowo - szablonowej bulwarowości i stanąć na poziomie, odpowiadającym kwitnącej twórczości w innych dziedzinach sztuki.

„Comédie des Champs — Elysées“ osiągnęła niejaki sukcesy sztukami „Madame Béliard“ — Vildrac'a i „Bara - Afrykańczyk“ — B. Zimmera. Wkrótce jednak gwiazda tego powodzenia przybladła, a w gmachu sympatycznego teatrzyku zakwaterowała się — operetka.

W „Atelier“ zakończono sezon stosunkowo pomyslnie sztuką Pirandella — „Wszystko, aby było lepiej“ i Achard'a — „Nie kocham cię“.

„Teatr Młodych Autorów“ dał sporo rzeczy interesujących, m. in. „Chapelle ardente“ — S. Marcel'a i „Miłosną fantazję“ A. Long'a. W tej ostatniej autor wprowadza na scenę cały szereg widm i zjawisk nadprzyrodzonych, biorących czynny udział w akcji. Zasłużony „Teatr Młodych Autorów“ zmuszony jest jednak wynieść się ze swego stałego locum w sali „Vieux Colombier“ i wyrzec się stałych spektakłów. — Grać będzie natomiast w sezonie 1926/27 w „Odeonie“ na specjalnych porankach. Chociaż więc bilans „T. M. A.“ pod względem artystycznym przedstawia się weale pokaznie, wyniki finansowe kampanji są, jak widzimy, negatywne.

Zmanierowane gros publiczności teatralnej paryskiej oraz przepływający nieustannie przez Paryż bogaci cudzoziemcy — niełatwo dają się pociągnąć do tych miejsc widowiskowych, gdzie odbywa się służba sztuce, nie zaś mamonie i zblazowanym gustom dzisiejszości.

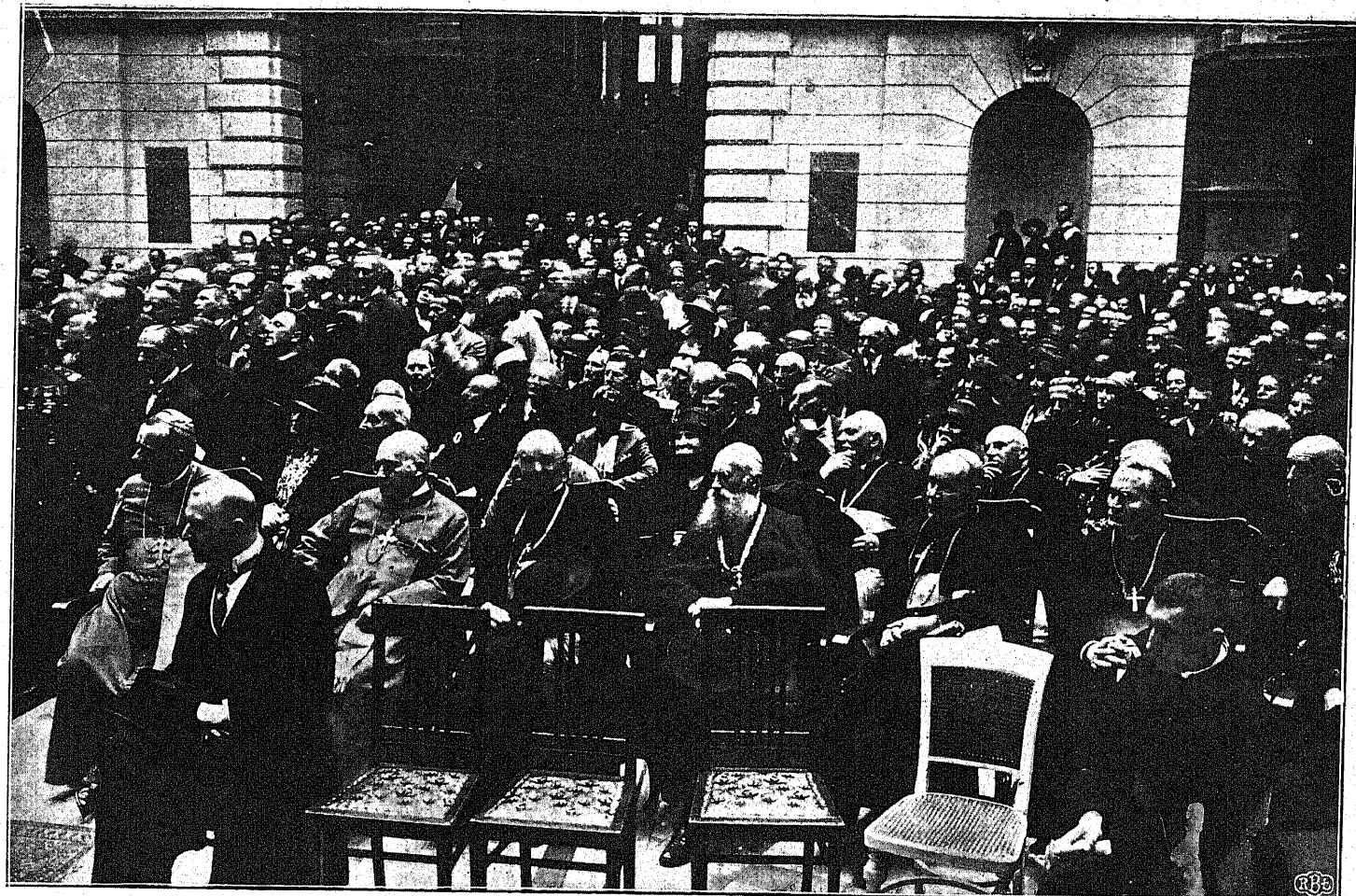
Delta.

Rewja oddziałów strażackich.



W dniu 5 b. m. odbyła się defilada Ł. S. O. O. na placu S. „Union“ przed zarządem i komendą straży oraz przed licznymi zaproszonymi gośćmi

Ogólnopolski Zjazd Katolicki w Warszawie.



W ostatnich dniach sierpnia odbył się w Warszawie Ogólnopolski Zjazd Katolicki, zwołany z racji przewiezienia zwłok Św. Stanisława Kostki do Rostkowa. — Zdjęcie nasze przedstawia uczestników Zjazdu podczas obrad



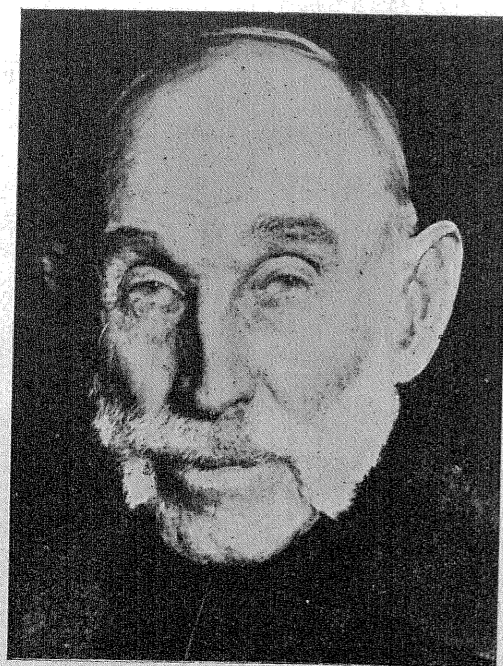
Grupa Łodzian po powrocie ze Zjazdu Katolickiego na dworcu Łódź-Kaliska z ks. prefektem Nowickim na czele.



Miss Myrna Darby, wykonawczyni smętnych i sentymentalnych piosenek na deskach scenicznych całego szeregu teatrów amerykańskich.



Piękna scena taneczna z baletu rosyjskiego w Londynie



Siedemdziesięcioletni farmer amerykański, Adam Berry — wstąpił niedawno do szkoły powszechnej, mając nadzieję dopr wadzić sędzia aż do stopnia uniwersyteckiego.



Equipa rekordowego lotu pilotów hiszpańskich z Madrytu na Filipiny.



Dość doskonale uchwycony przez fotografa moment na wyścigach we Francji.

Jesienny koncert w „Helenowie”.



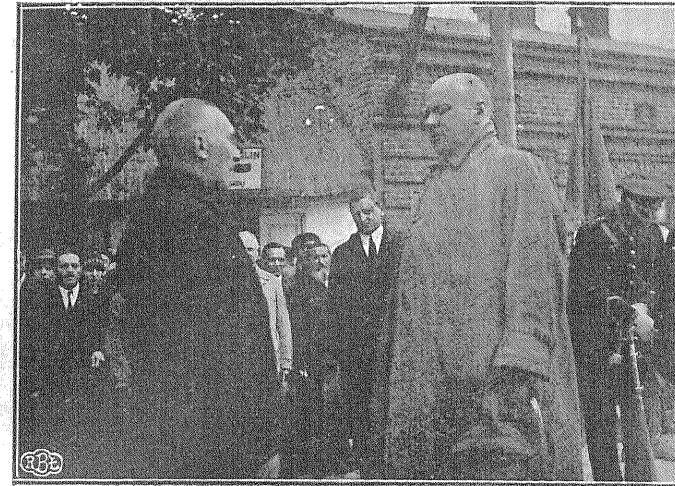
Urządzony w ub. niedzielę w „Helenowie” koncert, połączony z zabawą ogrodową zgromadził tysiące osób, pragnących odetchnąć świeżym powietrzem w nadspodziewanie upalne dni wrześniowe. Całkowity dochód z tej imprezy poświęcono na odnowienie kościoła Ś-go Krzyża w Łodzi.

Z ostatnich wyścigów.



Zwycięzcy międzybiegów w dn. 5 b m. na starcie finałowym w „Helenowie”.

Wojewoda łódzki na inspekcji.



P. wojewoda Jaszczolt odbył w końcu ub. miesiąca inspekcję miast powiatowych. Fot. 1) Przemowa burmistrza m. Łasku. 2) P. wojewoda u wyjścia z kościoła łaskiego.



MISS ANIE HOOPE, jedna z najurodziwszych aktorek teatrów amerykańskich, zachwyca widownię grą, pełną szczerości i temperamentu.

Tylko zdaleka!

I.

Słoneczny ranek. Zapach świerków. Ze wzgórz powiewa lekki wiatr. Słodki, chłodny zefirek. Błękit nieba czysty i promienny. Cisza wokoło. Wielka symfonia wszechbytu

— Co za poranek... cudowny majowy poranek... Odczuwasz go?

— I dama u naszego boku...

— Której nie znamy...

— Kobieta... Tak....

Zamilkli. Obaj mężczyźni weszbranymi piersiami wchłaniali wiosnę, myśląc o kobiecie, której nie ma... której nigdy nie było... której nigdy nie będzie...

— Tylko tęsknota za nią. Tylko tęsknota....

Zapach świeżej trawy wionął im w twarz. Kamienne kostki peronu błyszcząły jak tafla lustrzana w promieniach słońca. Dzwonek sygnałowy rozległ się. Z oddali widać już było dym zbliżającego się pociągu.

— Nigdy bowiem nie jest dobra, ta, którą znaleźli... Tak, proszę cię, nigdy ta nie jest dobra... właściwa... Wiesz, że mieszkam tu na wsi sam, sam jeden... bez kobiety... bez miłości... Bo po co? Co w niej widzimy pięknego i dobrego, to wytwór naszej fantazji jedynie... Mam dosyć kobiety... Trzeba się jej tylko zdaleka przyglądać... tylko zdaleka...

Słychać już było turkot pociągu.

— Ale na to trzeba, rzecz naturalna, zestarzeć się nieco. Wy, młodzi, nie możecie tego zrozumieć. Ale gdy wytrzeźwiejecie... Kiedy znów przyjedziesz?

— Może w jesieni....

Pożegnali się.

Pociąg ruszył.

II.

Nie mógł się jej napatrzeć. Jego spragniony, ognisty wzrok przywarł do kobiety. Nigdy jeszcze nie doznawał takiego silnego uczucia tęsknoty. Co to jest? Skąd takie pragnienie? Owładnięto nim całkowicie... Dostał zawrotu głowy... Serce biło głośno... Ani na chwilę nie odwracał oczu od kobiety.

Na trzeciej stacji zostali sami

Sięgnął po parosnicę:

— Pani pozwoli?

Kobieta podniosła nań wzrok:

— Proszę.

Zapalił papierosa. Przedział w jednej chwili napelniał się dymem.

— Może otworzyć okno?

— Mnie wszystko jedno...

Nic zachęcającego w tej odpowiedzi. — Przebił ją w niej nawet pewien odcień nudy i obojętności

Spuścił okno. Świeży wiatr owiał kobietę. Musnął jasne loki.

— Jeżeli pani sobie życzy... mogę jej ustąpić moje miejsce... Tu będzie prawdopodobnie zaciszniej...

— Nie, dziękuję...

Odmowa podnieciła go jeszcze bardziej. Wpadł w gniew. Tak pragnął zobaczyć ją, wstającą ze swego miejsca i siadającą po przeciwnej stronie!

Ciekawy był jej postaci... jej ruchów... Z nienawiścią patrzył na pleć, przykrywając jej nogi i kolana.

— Czy pani zimno?

Kobieta, przerażona, zadrżała i jakby chcąc się uchronić od jego natarczywości otuliła nogi pleciem jeszcze szczelniej.

— Pewnie jest bardzo lekko ubrana — zauważył w duchu.

— Musi mieć ładne nogi — snuł dalej swe myśli — zaokrąglenie kolan je zdradza... najdoskonalsza symetria... Ach, mój Boże... gdybym mógł je zobaczyć choć do kostek... na jedną sekundę tylko...

— Czy pani jedzie do Budapesztu?

— Nie.

— Przepraszam... jeżeli się pani naprzykrzam... za nic na świecie nie chciałbym się jej naprzykrzać...

— Pan mi się wcale nie naprzykrza... Może pan jedzie do Budapesztu?

— Tak... Nazywam się Daniel Forgacz, malarz.

Podali sobie ręce.

— W takim razie pan się przesiada w Szolnok....

— Tak. A pani?

— Ja jadę dalej....

— Szkoda. Jakby to było przyjemnie razem do Budapesztu....

I spragnionym wzrokiem szukał jej spojrzenia. Zajrzeli sobie w oczy.

W jednej chwili zaszła w kobiecie jakaś dziwna przemiana.

Przyjazny uśmiech rozjaśnił jej twarz. Przymus znikł zupełnie.

Nie mógł zrozumieć tego nagłego przestoczenia.

Wogóle jakaś tajemnica unosiła się wokoło jej postaci... nieprzenikniona zagadka...

III.

Na piątej stacji już pocałował ją w rękę. Ciepła kobieca rączka oddała mu uścisk.

— Nigdy się już nie zobaczymy...

— Niech pani tego nie mówi... Obraża mnie pani, tak o mnie sądząc... Nie szukałem przygody... Przysięgam...

Roześmiała się.

— Po co przysięgać? To zupełnie niepotrzebne. Niech pan się uspokoi. Ja rada jestem z przygody. W Szolnok zostaniemy się... i nigdy więcej....

— Towarzyszę pani dalej.

— Nie! Dokąd? Za nic na świecie!

— Jadę z panią dalej!

— Ależ ja nie chcę!

— Nie może mi pani zabronić....

Spojrzała nań przerażonym wzrokiem. Zbladła jak płótno.

— Ja sobie tego nie życzę. Czy pan mnie rozumie? Ja nie chcę! Poprzestał na wspomnieniu w jego obecnym stadjum... Nasze drogi rozchodzą się... Jeżeli pan pragnie abym zachowała go w życzliwej pamięci... pan wysiądzie w Szolnok... Ja proszę... błagam... niech pan wysiądzie w Szolnok...

IV.

Pałace promienie jesiennego słońca zalewały dzikiem winem obrośniętą werandę, snując się po czerwieni i złocie liści.

Dwaj mężczyźni siedzieli pałac cygara pod różnobarwnym baldachimem. Cierpki zapach przekwitów przenikał powietrze.

— No, i?

— Przedewszystkiem nie wysiadłem w Szolnok. Ciekawość mnie paliła, kto jest ta kobieta, jaka tajemnica ją otacza, dlaczego nie chce, bym jej towarzyszył? Zaczęła się denerwować... Chwyciłem jej rękę... Pocałowałem ją... I wówczas...

— I wówczas co?

— Pleć zsunął się z kolan i lodowate zimno przejęło mnie nawskroś. Nieszczęśliwa kobieta miała protezy...

Drugiego mężczyznę nie zaskoczył taki obrót rzeczy. Spokojnie palił cygaro.

— Co dalej?

— Koniec! Wysiadłem na następnej stacji i pojechałem wstecz do Budapesztu... A tak pięknie się zaczęło!

Drugi zrobił przeczący ruch ręką.

— Wszystko jedno. Powinieneś był wysiąść w Szolnok, gdyby nawet miała nogi Afrodyty... We wszystkich naszych planach na drodze życia jest taka stacja, na której trzeba koniecznie wysiąść. Nie w tem sedno sprawy, że kobieta była w danym wypadku kaleką. Każda kobieta jest nią... po drugiej stronie Szolnoku. Wierź mi.

Strząsnąwszy popiół z cygara, dodał:

— Trzeba je tylko zdaleka obserwować... tylko zdaleka...

Tłum. Jotsaw.



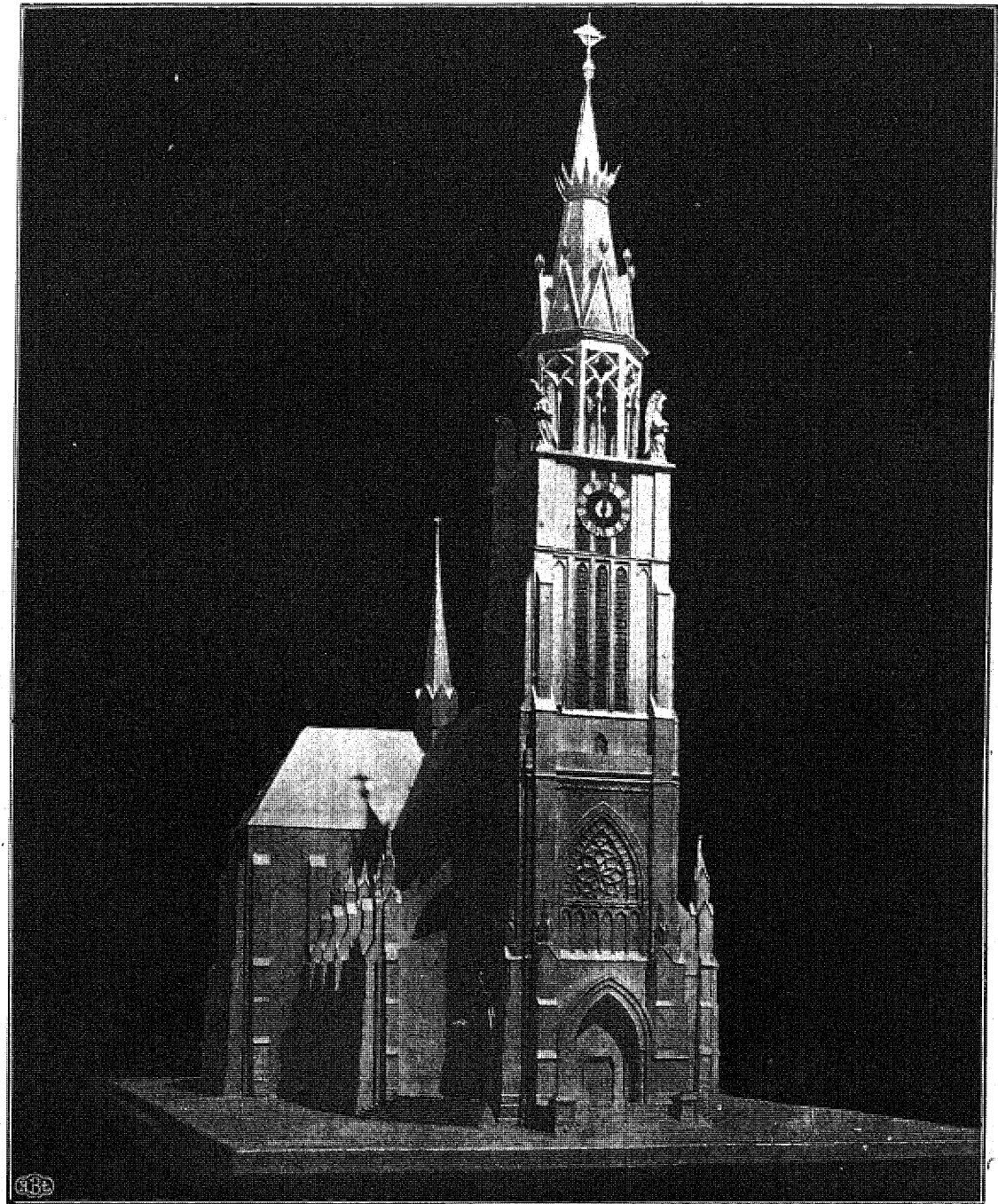
DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok III.

ŁÓDŹ, dnia 19 września 1926 roku.

Nr. 38.

Bogu na chwałę!



Projekt nadbudowy wieży katedralnej, opracowany przez architekta Kabana. Robota zapoczątkowana już od dwóch tygodni, dzięki niestrudzonym zabiegom ks. kan. Szaniawskiego, który z ramienia J. E. księdza biskupa Tymienieckiego łącznie z Komitetem podjął akcję nadbudowy.